NUMER 42. DNIA 16. PAŹDZIERNIKA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

KSIĘGA PAMIĄTKOWA

W CZTERDZIESTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA ROKU 1863/1864.



Dwadzieścia miesięcy zaledwie upłynęło od dnia czterdziestej rocznicy powstania styczniowego, którą obchodziliśmy tu we Lwowie, z niezwykłą okazałością, gdy zjawiła się na półkach księgarskich już druga księga pamiątkowowa tegoż powstania, pod tytułem wyżej zacytowanym, wydana tym razem „staraniem komitetu obywatelskiego“ a „opracowana przez Józefa Białynię Chołodeckiego“.

Podobieństwo powyższego tytułu do godła pierwszej księgi pamiątkowej, wydanej w lipcu 1903 r. przez komitet wydawniczy samych uczestników powstania, noszącej tytuł „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“ mogłoby pozornie w błąd wprowadzić, lecz w rzeczy samej żadne z tych dwóch wydawnictw drugiemu szkody zrządzić nie może. Pomimo wspólnego celu, jaki je cechuje, treścią i formą są one zupełnie różne, tak, że tylko wzajemnie dopełniać się mogą a epoka powstania z 1863/4 roku jest tak obfitą w krwawy materjał przeszłości, iż mogłaby go dostarczyć jeszcze dla licznych ksiąg pamiątkowych.

Księga „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“, podając czytelnikom ustępy ze wspomnień 85 uczestników powstania, zaznajamia tychże czytelników z trzema zasadniczymi aktami Rządu Narodowego i z dwudziestoma innymi dokumentami mniejszej wagi, rzucającymi światło na samo powstanie, — „Księga pamiątkowa“ zaś, którą się obecnie zajmujemy, jest właściwie skatalogowaniem nazwisk, ludzi i miejscowości, złączonych pod pewnym względem z faktami samego powstania a ułożonych kategorjami, odpowiadającemi pewnemu porządkowi ideowemu.

Ocenienie tej ostatniej bez pochlebstw, ale też i bez uprzedzeń konkurencyjnych, (o któreby nas posądzać można, ze względu udziału naszego w wydawnictwie pierwszej księgi pamiątkowej) jest naszem obecnem zadaniem.

Bezwarunkowo zebranie tak obszernego materjału „Księgi pamiątkowej“, materjału choćby już po części gotowego, lecz rozrzuconego po rozmaitych źródłach, — zszeregowanie tegoż w odpowiednie kategorje i dopełnienie należytemi objaśnieniami, wymagały wielkiej pracy, wytrwałości i sumienności a zarazem wytrawnej świadomości rzeczy, dotyczących powstania. W tem leży właśnie zasługa p. Józefa Chołodeckiego, jako redaktora a komitetu obywatelskiego, jako wydawcy. Tem większe uznanie należy się tym panom, iż będąc ludźmi, którzy bądź z przyczyny młodego wieku, bądź z przyczyny oddalenia od kraju, nie mogli po większej części wziąć udziału czynnego w powstaniu, ukochali jednak przeszłość, wbrew panującej obecnie tak zwanej trzeźwości poglądów i postanowili nietylko uczcić ją wspaniałym obchodem, ale i upamiętnić księgą, wielce pożyteczną dla społeczeństwa.

„Księga pamiątkowa“ nie jest dziełem, któreby się czytać dało, lecz jest i długo jeszcze będzie poradnikiem i wskazówką, w wielu kwestjach dotyczących powstania styczniowego dla tych wszystkich, których interesować mogą wypadki 1863/4 r. Daje ona mnóstwo dat, nazwisk i miejscowości, chociaż przyznać należy, że nie wyczerpała ona przedmiotów, które sobie za cel postawiła.

Każde dzieło ludzkie podlega wadom i usterkom, a czem donioślejsze i ważniejsze jest jego zadanie, czem więcej nagromadza się przeszkód do zwalczenia, tem większe jest prawdopodobieństwo popełnienia błędów.

Ubliżyłbym tak wydawcom „Księgi pamiątkowej", jakoteż zaszkodziłbym i samej książce, gdybym, ograniczając się do samych pochwał, pominął milczeniem jej usterki ważniejsze, tem więcej, jeśli takowe mają doniosłość historyczną. Zdaniem mojem jest, iż każdy z uczestników prac i usiłowań naszych z 1863/4 r. nie powinien się ograniczać tylko do pochwały tych, którzy się owymi wypadkami zajmują, lecz winien także zastanawiać się krytycznie nad wydawnictwami dotyczącemi tych wypadków i prostować omyłki lub błędy, w miarę swych wiadomości i pamięci, tak, iżby usterki te w następnych wydaniach poprawionemi być mogły.

Mam nadzieję, iż spełnienie tak pojętego przezemnie obowiązku, może być przyjęte tylko z uznaniem przez wydawnictwo „Księgi pamiątkowej".

Z kilkunastu rozdziałów składających „Księgę pamiątkową" najważniejszym, a o ile mi wiadomo, wcale nowym pomysłem, jest „Wykaz bitew, walk, starć i potyczek stoczonych w latach 1863/4". Rozdział ten zawiera spis około 1000 miejscowości. To wiele, bardzo wiele i wymagało to bardzo wiele pracy a jednak niektóre i to bardzo ważne bitwy nie są pomieszczone, jak np. pod Grochowiskami, zwycięstwo w dniu 18. marca 1863 r., wsławione ucieczką dyktatora i rozproszeniem 5000 korpusu. Data znamienna i smutna a więc tylko omyłce opuszczenie to przypisać należy.

Wartość historyczna i orjentacyjna tego całego rozdziału jest obniżoną, przez brak bliższego oznaczenia geograficznego miejscowości, zwykle mało znanych, jakoteż wskazania dowódców oddziałów, biorących udział w walce.

W rozdziale zatytułowanym: „Rząd Narodowy", którego celem było pobieżne naszkicowanie genezy tej tajemniczej władzy, której przez blisko dwa lata był posłuszny naród cały, wkradła się jedna ważna, bo zasadnicza pomyłka, a mianowicie: na stronicy 77-ej, ustęp trzeci brzmi jak następuje:

„Pragnąc paraliżować wpływ stronników ruchu i krzyżować jego plany, zainicjował hr. Lambert wybór: „Delegacji dla kierowania ogólnemi sprawami narodu". Należeli do niej: Ejdziatowicz Tadeusz, Golc Adam, Jurgens Edward, Kołaczkowski Józef, Kronenberg Leopold, Kurz Aleksander, Majewski Karol i Zamojski Władysław".

Jest to ni mniej, ni więcej jak Dyrekcja centralna organizacji białych, wyszła z łona byłego Towarzystwa rolniczego, utworzona tajemnie z inicjatywy hr. Andrzeja Zamojskiego, pod natchnieniem znanego patrjoty i męczennika Edwarda Jurgensa. Ustęp więc powyższy, przypisując inicjatywę założenia tej Dyrekcji generałowi moskiewskiemu, hr. Lambert'owi, carskiemu namiestnikowi w Warszawie, bezcześci Dyrekcję białych i całą ich organizację, przedstawiając ją potomności, jako narzędzie antinarodowe, na usługach wrogiego rządu. Jest to więc gruba pomyłka, może autora szkicu, a może zecera, który zamiast hr. Andrzeja Zamojskiego, umieścił hr. Lambert'a. Widocznem jednak jest jakieś pomięszanie pojęć o tym komitecie i o „Delegacji", w której skład wchodziły powyżej cytowane osoby, wraz z wielu innemi, a która się utworzyła dnia 27-go lutego 1861 r., za czasów namiestnika Gorczakowa, po zabiciu pierwszych pięciu poległych a została rozwiązaną po rzezi z dnia 8-go kwietnia 1861 roku.

Następne ustępy są również błędne, gdyż podział Kongresówki na 8 województw, a następnie na powiaty i okręgi, nie był specjalnym dla organizacji białych, lecz historycznym, od czasu kongresu wiedeńskiego.

Nakoniec wybory w tej tajnej organizacji musiały być również tajne i dorywcze a nie tak urzędowe, jak je autor przedstawia.

Rzecz ta jest konieczną do poprawienia w następnem wydaniu, w którem byłoby dobrze, aby autor zaznaczył epokę zlania się organizacji czerwonej z białą, jakoteż aby zatrzymał się cokolwiek nad okolicznościami schwytania i stracenia ostatnich pięciu członków Rządu Narodowego.

Cenna a pełna smutku lista męczenników naszych, straconych urzędownie, tylko w okręgu wojennym warszawskim, zyskałaby zdaniem naszem, przez ułożenie nazwisk w porządku alfabetycznym.

Tak jak jest, daje ona wprawdzie miarę rozwścieczenia wroga w różnych epokach powstania, ale utrudnia orjentację i możność sprawdzenia przez czytelnika. Podwójne daty niedostatecznie wyjaśniają epokę stracenia. Wiele nazwisk fałszywie wypisano z moskiewskiego, jak np. Bellarti str. 123 zamiast Bellardi, Monsień (str. 118) zamiast Moncey; obu ich znałem, a z ostatnim podzielałem nawet więzienie przez dwa miesiące.

„Lista wyższych oficerów i samoistnych dowódców"... nie jest, bo nie może być kompletną. Z ko-

nieczności różne niedokładności w nią się wkradły, jak np. ksiądz Łukasz Wronowski, zmartwychwstaniec, który ongi nosił miano Ludwika Wronowskiego, był jednym z organizatorów, którzy istnieli w każdym powiecie, w celu udzielania pomocy oddziałom partyzanckim. Zygmunt Waryłkiewicz, rozstrzelany w Kole, a nie w Koninie, pełnił podobnież obowiązki w powiecie konińskim a przedtem był żołnierzem kawalerji pod Mielęckim, w bitwie pod Cieplinami. Lewkin Jakób, żołnierz, dezerter z rosyjskiego wojska, był wachmistrzem w oddziale Bończy a potem Chmielińskiego i innych, rozstrzelany przez Moskali. To wszystko nie zmniejsza zasługi wyż wymienionych osób; lecz miejsce dla nich na liście wodzów i wyższych oficerów nie jest właściwem.

Podobnych przykładów możnaby więcej zacytować.

Podana w „Księdze pamiątkowej“ lista oficerów i studentów, należących do Kółka polskiego w Petersburgu, zdaje mi się być niekompletną. Sam będąc studentem uniwersytetu w owym czasie (r. 1857—1862), wiem, iż przy pierwiastkowem założeniu Kółka przez Siarakowskiego i Dąbrowskiego w latach 1857 i 1858, należeli do niego ze strony studentów Polaków:

Adolf Pieńkowski, Jerzy Gut i Oskar Awejde, późniejszy zdrajca. W następnych latach delegowaliśmy do tych prac z pomiędzy siebie, oprócz dwóch wymienionych w spisie: Seweryna Markiewicza, Adama Majewskiego, Aleksandra Oskierkę i Konstantego Kalinowskiego. Dwaj ostatni powieszeni potem w Wilnie przez Murawiewa.

W „spisie oficerów rosyjskich, którzy przeszli do powstania“, są także różne luki, jak np. brakuje tam pułkownika Józefa Grekowicza, majora Drobogojskiego i wielu innych, wyliczonych w spisie dowódców, — porucznika Bolesława Łąckiego, który jako junkier dezertował z Kielc, walczył u Bończy i Chmielińskiego i wyliczony jest jako podoficer, stracony w cytadeli warszawskiej; — nakoniec brak tam np. zupełny Teofila Srzednickiego, żyjącego tu pomiędzy nami, a który, opuściwszy artylerję moskiewską w Łowiczu, dowodził oddziałem w początkach powstania w Płockiem, pod nazwiskiem Millera.

Bolesław Anc.

(D. n.)

Z pamiętników Wincentego Pola.

OBRAZKI LITEWSKIE.

(Ciąg dalszy.)

Po tem zajściu mieliśmy znowu parę dni spoczynku, całe wojsko stało w wielkim obozie, pomiędzy kilkoma wielkiemi wsiami; znajomi z różnych pułków spotykali się tu z sobą i odwiedzali się nawzajem. Pojedyncze oddziały powstańców zostały częściowo wcielone do starych pułków; ta nowa organizacja wojska oddzieliła od siebie towarzyszów broni, którzy od początku powstania na Litwie walczyli obok siebie.

Było tedy nie mało scen serdecznych, gdy się w tym wielkim obozie spotykali z sobą towarzysze broni, którzy się z oczu stracili. Kilka, jak mówią, wiosek zajmował obóz, kupcy i rzemieślnicy przybyli do obozu, w każdym dworze i dworku, na każdej plebanji grzmiała huczna muzyka i wyprawiano baliki i tańce. W jednym z tych dworów stał sztab główny i z każdą chwilą przybywało coraz więcej gości do obozu, obywatele z żonami i córkami a wszyscy wieźli z sobą żywność i napoje, tak, iż w każdym punkcie obozu, gdzie się taki tabór gości zatrzymał, rozpoczynała się odrazu uczta, bo wszędzie znalazł się znajomy lub krewny, syn, brat, mąż lub narzeczony, który kolegów z sobą przyprowadzał, z przybyłymi zaznajamiał i na ucztę zapraszał. Nie poznać tu było prawie dawnych sponiewieranych oddziałów powstańczych, wszyscy się wyparzyli w łaźniach, wszyscy się ogarnęli i postrzygli, złożono z całej okolicy bryki bielizny i mundurów, przyborów wojskowych dla ludzi i koni. Jak z pod ziemi wyrośli przemytnicy pruscy z całymi transportami: szlif, ładownic, pendentów i siodeł wojskowych, a to wszystko było tak odrobione podług przepisu, że uwierzyćby można w to, iż to nie z Tylży i Królewca przyszło, ale że te transporty przystawić kazał rząd narodowy z Warszawy do obozu; jakoż byli Litwini przekonani, że

to rząd narodowy takie cuda robił, gdy w przeciągu kilku dni ujrzeli oddziały w mundurach nowych, a nowomianowanych oficerów przy świeżych szlifach, ryngrafach, ładownicach i pendentach. W sztabie głównym zebrali się byli tu członkowie rządu narodowego litewskiego i powstańcy za całe powstanie, a wojskom koronnym aż po bitwę Ostrołęcką wypłacono żołd, więc było się czem zabawić i było się za co przystroić. Polskie dwuzłotówki, że miały stempel orła i pogoni, przyjmowano w wartości rubla i talara, nawet kupcy i przemytnicy pruscy stosowali się do tego kursu patrjotycznego i nieźle wyszli na tem, biorąc potrójne i poczwórne ceny za wszystko, mieniali następnie dwuzłotówki w obozie a przybyli goście dawali im chętnie za taką dwuzłotówkę rubla i talara.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o tem, iż lubo dowódcy oddziałów i pułków zamawiali gotowe mundury i efekta wojskowe w Prusiech, szyto też takie mundury, przez cały czas powstania, w obozie. Dziwnie wyglądała ta mundurowa komisja na długich drabiniastych wozach — były wzdłuż wozów przy drabinach dwie ławki i na tych ławkach siedziało dziesięć do dwanaście żydków krawców i szyło mundury od świtu do nocy, czy to w obozie, czy w marszu. Kiedy się oddział do miasteczka zbliżał brano w rekwizycie: krawców, szewców, złotników i ślusarzy z ich naczyniem na te wozy, był osobny komendant, który ten tabor pod zasłoną wojska prowadził i widziałem to, że na poczekaniu po wzięciu miary był cały żołnierz w parę godzin nieraz ubrany, umundurowany po formie; tak wielkiej wprawy nabrali intendenci i rzemieślnicy, że każdy kawałek munduru z osobna zrobiony zrastał się prawie cudem na poczekaniu i ledwie było można poznać kolegów w dni parę, tak się to postroiło w świeże mundury i szlify, w świeże ryngrafy i ładownice.

Przed dwór, w którym sztab główną kwaterą stanął, zajeżdżały co chwila ekwipaże, ale tu nie było zabawy. Powaga głównej kwatery była nienaruszona, odwach przed dworem, adjutanci na służbie w ganku, wierzchowe konie gotowe przed gankiem trzymano i posełki z rozkazami w ciągłym biegu.

Nasz brat tedy, co się niewymownie po opałach przebytych w powstaniu tem cieszył, że się przecie ktoś inny znalazł, co za niego myśli i o nim radzi, nie szukał sztabu głównego, ale dworeczka i dworku, plebanji i oficyny, bo tu było wesoło. Choć każdy pułk miał swoją muzykę, wypłynęło jak z pod ziemi mnóstwo jeszcze innych kapeli żydowskich i dworskich, a gdzie w domu za ciasno było, tam tańczono przed domami, pod gołem niebem, na umiecionych podwórkach. Jedne baliki poczynały się z wieczora i trwały do białego dnia; a drugie już po mszy obozowej i śniadaniu około południa.

Nikt nie żyje tak pełnem życiem chwili obecnej, jak żołnierz wśród boju, i dziwne to uczucie tej niepewności jutra, a tego serdecznego pochwycenia chwili szczęśliwej, która już może, ostatnią dobrą chwilą życia będzie. Często otarła łzy piękna tancerka, myśląc o tem jutrze, a w kielichu na jej cześć i zdrowie lub na pomyślność ojczyzny wychylonym utonęła także nie jedna łza młodych rycerzy. Było coś rzewnego w tej wesołości, głębokiego w tej zabawie obcych i nieznanych sobie zupełnie istot, które się na chwilę ku sobie zbliżone uczuły, tak serdecznie i silnie pochwycone, jak gdyby z sobą razem miały pójść w dalszą podróż życia, chociaż jakieś tajemne, wewnętrzne uczucie mówiło im, że się ich gwiazdy nigdy więcej nie spotkają z sobą.

Przed takim to dworkiem w ganku grała żydowska kapela, brzęczący cymbał wyprawiał cuda, słońce poczęło chylić się ku zachodowi, a koroniarze przyśpiewywali w żwawym krakowiaku przy tańcu Litwinkom. Dwieście par może krakowiaka sunęło po dziedzińcu kołem i tchu nie stawało prawie, kiedy przyszło przed muzyką zaśpiewać znów zwrotkę; pierwsza para upomniała się o kielich i muzyka ucichła na chwilę, wtem podniósł się tuman kurzu w obszernym rynku, który w kwadrat otoczyły: dworki i dworeczki, kościół i plebanja, wikarówka i poczta, gospoda i drewniany ratusz starego bardzo stylu z podsieniami i krużgankami, z wieżyczkami, przystawkami i narożnikami, w którym przemytnicy i kupcy pruscy założyli swój bazar. Z tumanu kurzu wysunął się czterokonny powóz, dzielne cztery taranty niosły go, a woźnica palił raz po raz z bata; obok powozu jechał konno okazały mężczyzna, obok niego na prześlicznym, białym dzianecie jechała smukła amazonka, w pąsowej konfederatce na głowie z okazałem, białem, czaplem piórem, za niemi sadziło dwóch pachołków i pojeżdżały bardzo żwawo cztery furgony w hołoblach, każdy furgon trójką koni dzielnych uprzężony. (C. d. n.)

OFIARA 6)

FRAGMENT W 3 AKTACH Z ROKU 46-go

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ORKANA.

(Ciąg dalszy.)

ŁOZINA *(opierając głowę na ręku, twarzą zwrócony w stronę Jana)* Pamiętam... w mięsopuście... bedzie temu ze trzydzieści roków, abo i więcy. Jeszcze pan mały był, abo może pana jeszcze i nie było... Przychodzę ja o takim czasie: gwar po całym dworze dookoła — dziedzic wydawał bal... Staję przed nim — schylam sie do nóg: „Jaśnie wielmożny panie! — mówię — ni mogę nijakim sposobem jechać po siągi do lasa, bo mi baba zaległa na piekne i choruje...“ A on (ociec pański naremny był jak pieron) dolatuje ku mnie i powiada: „Nie pojedziesz, to ja ci w nocy chałupę rozbierę i spalę, a ty, psiakrew (wybaczcie!) — powiada — pilnuj swojej baby na mrozie!“

JAN *(zrywa się, odtrąca stołek i poczyna chodzić zdenerwowany po sali).*

JĘDRZEJ. Ho, dyć oni tak umieją. Jak i ten pieklarz okoliczny, co go to Pietrem nazywają z imienia...

MAGDUSIA *(wchodzi, zbliża się do Jana — mówi coś do niego na boku — widać, o coś błaga, rzucając niespokojne spojrzenia ku stołowi. Tymczasem przy stole)*

WALEK. Od niego też to pewnie poszło, że jak sie kto boi, to mówią: ma pietra... bo jego imię tak stracha...

MATUS. Przydzie on mi do garści, ino...

JASTRZĄB (*do Matusa*) Stulże pysk, boś nie w karczmie... rozumiesz?

MATUS (*ciszej do urlopnika*) Tę psiąkrew żeby dostać — ołupić ze skóry...

KUKULEC (*Nachylając się ku nim*) Ba! kiedy jego wieś ani piśnie. Tak ją mocno trzyma.

URLOPNIK. Sakramencki naród! boi sie...

(Pozierają bokiem na Jana i raczą się winem, nie żałując. Kubuś też usługuje rzetelnie i jawnie już wypija pozostałe reszty. Magdusia w niepokoju ogromnym odchodzi).

JAN (*zwracając się ku stołowi*) Przepraszam, zajrzę na chwilkę do mojej pani... Raczcie się tu sami tymczasem (*wychodzi*).

(*Cisza, uwagi wśród zebranych — i naraz wybuch tłumionego śmiechu*).

JASTRZĄB. Czy aby sie nie pomiarkował? Idź-no, Matus, wyjrzyj, coby nie uciekł.

MATUS. Możecie i wy. Kto wam broni?

KUKULEC. Kurza ślepota! Nie bójcie sie. On tu wnetki wróci. (*Szynkują resztę wina*).

JASTRZĄB (*do Kubusia*) Ostawiłeś klucze?

KUBUŚ. No! (*śmieje się*).

JASTRZĄB. Masz rozum, bo inaczej... (*przygraża mu pięścią*).

(*Część gości wstaje od stołu i spaceruje po sali z udaną nadętością; kilku przypatruje się malowanym ścianom, wiszącym na nich sztychom, dotyka rzeczy różnych, jakby szacując je na oko; reszta ostaje przy stole. Rozgwar się przepołowił: mówią na sali i przy stole.*)

(*na sali*):

GOŚĆ I. (*wskazując na podobizny Kościuszki, Lelewela*) Co to na tych obrazach za święci?

GOŚĆ II. To pewnie jacyś pańscy święci, którychmy nie znamy...

GOŚĆ III. Nic tu godnego nima...

GOŚĆ IV. (*oglądając drzwiczki od pieca*) Te drzwiczkiby mi sie zdały. Takie akurat do piecka...

(*przy stole*).

URLOPNIK (*przechylając się nad stołem*) Z becyrku idzie befel... becalunk niemały...

MATUS. Juh! aż mnie dłonie świędzą...

(*na sali*):

GOŚĆ I. Ten zegar nie idzie. Trza go popędzić...

(*przy stole*):

JĘDRZEJ. Wiecie, po prawdzie to mi go i żal... Co on tu winowaty?

ROKITA. E, szkoda chłopa! Telo nam dobrego zrobił...

WALEK. Ja to wam mówię, że nas Pan Bóg skarze.

To nie po krześcijańsku, widzi mi sie...

(na sali):

GOŚĆ II. To wino ma zadużo tęgości w sobie...

(przy stole):

JASTRZĄB: *(do Rokity)* Z becyrku idzie befel... nie słyszałeś?

KUKULEC. Wierz ty panom! Panowie wszyscy jednacy...

WALEK. Co to, to nie — bo przecie nasz pan, a Pietr...

KUKULEC. A czemuż ich obydwóch kazują dostawić? Oni ta wiedzą, czemu...

ŁOZINA *(poważnie)* Mają-li oni w niwecz nas obrócić — lepiej, że my ich... *(przerywa, gdyż trącają go, obaczywszy wchodzącego Jana).*

JAN *(wchodzi zwolna w zasępieniu — lecz idąc ku stołowi otrząsa się już z tego i ożywia się nerwowo)* Czemuż nie pijecie? proszę... *(dolewa, trąca się szklanką).*

(Część gości przy stole pije — część — jak poprzód — wałęsa się po pokoju).

JAN. Domyślacie się już może, po co was tylu zaprosiłem.

JASTRZĄB. O — jej!

JAN. Dziś, żeby można wszystek lud zgromadzić — od Karpat i od morza — na tę wielką ucztę...

KUKULEC *(d. s.)* Czy ona ta wielka była — nie powiem...

JAN. Człowiekby oddał wszystko, nie żałując mienia...

ŁOZINA *(d. s.)* Już po niewczasie...

JAN. Gotuje się dziś wielkie święto...

URLOPNIK. A co? Nie mówiłem?

(Ktoś, stojący pod zegarem, pociągnął za sznurek — pozytywka w zegarze poczyna grać cichą, jakby z oddali słyszaną melodję: „Jeszcze Polska nie zginęła...“ Zdziwienie ogromne. Jedni podchodzą, nadsłuchując zbliska, drudzy od stołu odwrócili głowy i patrzą. Jan zamilkł).

GOŚĆ I. *(pod zegarem)* Samo gra...

GOŚĆ II. Juści samo...

GOŚĆ III. *(przy stole)* Co to jest?

JAN. Marsz wojska polskiego...

GOŚĆ IV. Taki cichy?

(Pauza).

URLOPNIK. *(z chwalbą)* Ja nie takie marsze słyszał! Jak my stali pod Widniem...

WALEK. Cicho-no!

(Melodja wraca — w połowie się urywa, Jan drgnął).

MATUS. Oho!

JASTRZĄB. Jeść mu nie dali, i ustał...

WSZYSCY. Cha! cha! cha!

(D. n.)



Dr. MIECZYSŁAW GROCHOWSKI.

O garncarzach na Huculszczyźnie.

(Ciąg dalszy.)

Trudno nam pogodzić się ze zdaniem Wierzbickiego, że wyroby ojca były pod względem estetycznym zupełnie pospolite, gdyż zdaje się, że całe bogactwo motywów w wyrobach swych Aleksander musiał przejąć od ojca, a tylko technika ulegała ciągłemu doskonaleniu, a pod względem technicznym może pani Janowa Tarnowska prześcignęła ojca, — widziałem bowiem bardzo piękny półmisek z datą 1889, który na niespodziewane i raptowne nasze zapytanie czyjej byłby roboty, — przypisano Aleksandrowi Bachmińskiemu — na uwagę zaś z naszej strony, że data śmierci Aleksandra jest o wiele wcześniejszą, — nie otrzymaliśmy odpowiedzi; widocznie poczciwa pani Tarnowska w skromności swojej nie chciała odbierać sławy ojcu, ani jej przewyższać. W dowód szacunku dla tak szlachetnych uczuć kochającej córki nie żądaliśmy dalszych objaśnień, konstatujemy tylko fakt — nie chcąc ażeby był pominięty, tem bardziej, że pani Tarnowska nie uprawia wcale kunsztu ceramicznego dla zysku.

Zarzuca Wierzbicki Aleksandrowi Bachmińskiemu, że obok wyrobionego zmysłu dekoracyjnego, nie był on wolnym od skłonności używania przedmiotów figuralnych do dekoracji naczyń i że z powodu nieznajomości rysunku, naczynia jego mające figuralną dekorację, stanowią dziwną sprzeczność, gdyż obok pięknie rozwiązanych wzorów ornamentacyjnych, przedstawiają one rysunki ludzi, zwierząt, lub ptaków, nawet cerkwi i domów dziwnie naiwnie pojętych i przedstawionych, bez żadnej wartości i znaczenia. Twierdzenie to wydaje się nam przesadnem, gdyż wiernemu przedstawieniu rzeczy w wyrobach Bachmińskiego nie tyle przeszkadzała nieznajomość rysunku, ile chęć wywołania komicznego wrażenia zapomocą karykatur i zastosowania się do stylu. Wszakże w cerkwiach bizantyjskich widzimy obrazy świętych, których postacie bardzo mało mają wspólnego z ludzkimi kształtami, a jednak artystom malującym je nie robimy zarzutu nieznajomości rysunku, gdyż wiemy, że styl ten nie zniósłby naturalistycznego przedstawienia osób. Niesprawiedliwością więc byłoby robić zarzut taki Bachmińskiemu, zwłaszcza, że znamy rysunki jego, w których umiał prawdziwie pięknie i dość zgodnie z prawdą przedstawić ptaki i kwiaty.

Zalety rysunku i polewy Bachmińskiego zjednały mu powszechne uznanie podczas wystawy krajowej lwowskiej w r. 1877, bardziej jeszcze zaczęto się interesować wyrobami jego podczas wystawy etnograficznej w Kołomyi w r. 1880, lecz niestety nie długo cieszył się powodzeniem, gdyż umarł w r. 1882.

Zupełną nieznajomość rzeczy okazał bezimienny autor artykułu umieszczonego w czytance ruskiej dla drugiej klasy gimnazjalnej (r. 1899) p. t. „Hanczar Bachmińskij“*). Przypuszczać należy, że arty-

*) Autor nie podaje imienia chrzestnego Bachmińskiego, a tylko ze szczegółów zawartych w tym artykule można się domyślać, że mówi o Aleksandrze.

kuł ten, nie był napisany w celu umniejszenia sławy Bachmińskiemu, tylko autor nie wiedział zapewne, czem można podnieść, a czem obniżyć jego zasługi, tak samo jak nie zawsze umiał dobrać odpowiednich słów do wyrażenia swoich myśli. Prawdopodobnie zdaniem „czołowik toj ne maw poniatia o rysunku“ [1]) chciał podnieść zasługę Bachmińskiego, jak świadczą o tem następne słowa „ne baczyw nijakich wzirciw, ne znaw świta po za Kosiw i Kołomyju — wse szczo umiw z sebe umiw [2]), prawdopodobnie więc chciał autor na pochwałę Bachmińskiego powiedzieć, że wszystko co umiał Bachmiński, zawdzięczał własnej pracy nad sobą, wyrazić jednak tego nie zdołał i wskutek tego cała myśl wygląda tak, jak gdyby Bachmiński pomimo pracy nad sobą niczego się nie nauczył, bo „ne maw poniatia o rysunku“. Takie same niedorzeczności spotykamy i w dalszym ciągu: „wzirciamy jeho ornamentyki buły zwyczajno ćwity i łystie, złożeni dekoły duże komiczno, ałe czasom tak udatno zrobłeni, szczo budyły zahalnyj podiw“ [3]). Nie rozumiemy zupełnie, jak kwiaty i liście mogą być złożone bardzo komicznie, tak samo jak nie rozumiemy, jak człowiek nie mający „poniatia“ o rysunku, który posiadał tylko umiejętność „składania ich bardzo komicznie“, mógł czasem tak udatnie je malować, że budziły ogólny podziw.

Dalsze ustępy dowodzą, że autor nie miał „poniatia“ o motywach, używanych w zdobnictwie ludowem, o czem świadczą słowa, że Bachmiński „zabyrajuczyś do roboty, po perszych linijach sam szcze ne znaw, szczo chocze narysuwaty i jakij wyjde rysunok. „„Może zajać bude... ni, ćwitok bude!...““ Zaczow rysuwaty zajacia wid uszyj, a zajaczi słuchy zminiały sia w łystie ćwitu...“ [4]). Przypisuje więc autor dziwną bezmyślność Bachmińskiemu, spotykaną rzadko u polskich rzemieślników, a nie byłby z pewnością tak sądził, gdyby był wiedział o tem, że w zdobnictwie ludu tutejszego używany jest powszechnie jeden motyw, zwany „zajaczi ucha“ [5]). Przy rysunku prostolinijnym, w kątach powstałych z zetknięcia dwóch linji, umieszcza rysownik zwykle dwie figury, zbliżone do figur geometrycznych, zwanych owalem, i stykające się węższymi końcami, tak, że te cieńsze końce wypełniają kąt, utworzony przez linje — motyw ten nazywają „zajaczi ucha“. Nazwa ta służy prawdopodobnie tylko do porozumienia się w sprawach zdobnictwa, a rysunek sam należy uważać raczej za geometryczny, niż obrazowy i można mu dowolną myśl podsunąć. Z równą prawie słusznością można by go uważać za serce („Coeur“ w kartach) którego połowy zostały silniej rozdzielone. Wielkie jest nawet prawdopodobieństwo, że motyw ten powstał wskutek rozdzielenia dwóch połów „serca“, posiadam bowiem w zbiorach swoich część urny, wykopanej w jaskini w Bilczu złotem, która przedstawia zupełną analogię z rysunkami, zwanymi u nas „zajaczi ucha“. Figury sercowate, na urnie tej umieszczone są w ten sam sposób w kątach utworzonych przez linje proste, jak w wyrobach naszego ludu, lecz przez bliższe połączenie obu połów, bardziej przypominają „serce“, niż liście lub słuchy zajęcze.

Nie stosownym jest także zarzut zarozumiałości, zrobiony Bachmińskiemu, w tymże artykule w słowach: „Tymy oznakamy uznania rozpeszczenyj, staw Bachmińskij w poślidnych rokach zarozumiłym i za jedno pidwysszaw ciny swoich wyrobiw“. [1]). Podług naszego zdania nie było to ani rozpieszczeniem, ani zarozumiałością, gdyż podwyższenie cen mogło wypływać z uświadomienia przez znawców co do wartości jego wyrobów i z samego udoskonalenia tychże wyrobów, nie można bowiem żądać, ażeby rzemieślnik, który wszedł na drogę artyzmu, sprzedawał wyroby swe po cenach targowych. W dalszym ciągu, nazywa autor wyroby Bachmińskiego „prosti myski, horszki, ta manirki“ [2]) i ubolewa, że nie można było ich dostać po kilka centów. Co autor rozumie pod słowem „prosti“? Nie zaprzeczamy, że materjał w wyrobach Bachmińskiego, stanowiła „prosta“ glina, tak, jak dzieła największych malarzy są malowane na „prostem“ płótnie — a jednakowoż w świecie cywilizowanym, powszechnie znaną jest rzeczą, że ocenia się te płótna trochę lepiej, aniżeli patronowe malarstwo na aksamicie, które niekiedy uprawiają nasze panie.

(C. d. n.)



[1]) Człowiek ten nie miał pojęcia o rysunku.

[2]) Nie widział żadnych wzorów, nie znał światu po za Kosowem i Kołomyją — wszystko co umiał, ze siebie umiał.

[3]) Wzorami jego ornamentyki były zwykle kwiaty i liście, złożone niekiedy bardzo komicznie, ale czasem tak udatnie zrobione, że budziły ogólny podziw.

[4]) Poczynając robotę, po pierwszych linjach sam jeszcze nie wiedział, co chce narysować i jaki wyjdzie rysunek. „Może zając będzie... nie, kwiatek będzie!...“ Począł rysować zająca od uszu, a zajęcze słuchy zmieniały się w liście kwiatu!

[5]) Zajęcze uszy. — Patrz: Helena Grochowska O „pisankach w Trościańcu“, „Lud“

[1]) Temi oznakami uznania rozpieszczony, stał się Bachmiński w ostatnich latach zarozumiałym i ciągle podwyższał ceny swoich wyrobów.

[2]) Proste miski, garnki i manierki.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Prof. dr. Franciszek Drtina: Rozwój umysłowy ludów Europy.* Str. 309. Wydawnictwo Bibljoteki samokształcenia. Warszawa 1904 r. Przekład z czeskiego.

Dziełko powyższe obejmuje zwięzły zarys pojęć o świecie i życiu, w ich historycznym rozwoju, u przodujących w ewolucji umysłowej ludów Europy.

We wstępie autor określa stosunek religji do wiedzy. W dwu pierwszych rozdziałach mówi o naturalizmie i racjonalizmie greckim. Prof. Drtina z widocznem zamiłowaniem przedstawia rozwój myśli filozoficznej starożytnych Greków, uwydatniając różne jej kierunki. Jest to niezawodnie najlepsza część pracy autora.

Chrześcijaństwu poświęcił ten ostatni dwa rozdziały: w pierwszym analizuje jego podstawowe zasady, w drugim bada wpływ jego na życie intelektualne i społeczne.

Autor bardzo trafnie przedstawił sprzeczności cywilizacji średniowiecznej, ujawniające się w myśli religijnej, oraz w życiu narodów.

Zwięźlej wypadła już charakterystyka humanizmu, jednakowoż zasadnicze jego rysy odtworzone zostały zadawalająco. Natomiast ustęp poświęcony reformacji jest zanadto ogólnikowy. Autor nie uwzględnił dostatecznie różnic między poszczególnymi kierunkami protestantyzmu; dość zauważyć, że nic nie powiedział o doktrynie kalwinizmu. Nie uwzględnił też wpływu reformacji na życie społeczne.

Najsłabszą jednak częścią pracy autora jest rozdział o nowożytnym racjonalizmie, który obejmuje obraz rozwoju myśli filozoficznej w okresie czasu od XVI. wieku aż do chwili obecnej.

Znajdujemy tu ogromne luki tak np. o wielkim systemie filozoficznym Spinozy dr. Drtina nic nie powiedział. Pominął wielki ruch materjalistyczny, syntezą którego był system Holbacha. Nawet o Kancie znajdujemy tylko kilka luźnych uwag.

O myślicielach wieku XIX. w książce czeskiego profesora nic nie znajdujemy; darwinizm, pozytywizm, ewolucjonizm, nie mówiąc już o poprzedzającej je metafizyce nie zostały zupełnie uwzględnionymi.

Trudno pojąć to lekceważenie nowszej myśli filozoficznej wobec obszernego stosunkowo uwzględnienia kierunków filozoficznych starożytności.

Rozdział końcowy, poświęcony jest rozpatrzeniu zadań filozofji współczesnej. Autor jest zdania, że racjonalizm filozoficzny sam przez się jest niedostateczny, i że nowy światopogląd wymaga, aby potrzeby uczucia i woli znalazły także swoje zaspokojenie.

Co do nas, to sądzimy, że filozofja, jak każda nauka, opierać się powinna wyłącznie na wynikach ścisłych poszczególnych gałęzi wiedzy, wiążąc je w jednolity i konsekwentny światopogląd.

Światopogląd zaś człowieka współczesnego może być tylko filozoficznym. Zapewne ludzkość byłaby szczęśliwszą, gdyby najgorętsze jej pragnienia i marzenia znalazły swe potwierdzenie w myśli filozoficznej. Przystosowywanie jednak światopoglądu do wymagań uczuciowych musi z konieczności wprowadzić do tego ostatniego pierwiastki antinaukowe, które go osłabią i zrobią z niego coś, co nie będzie ani systematem naukowym, ani religją, ani utworem poetyckim. *L. K.*

PISMA. Ostatni (2) numer „Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych“ zawiera między innemi przedruk bardzo ciekawego, nieznanego dotychczas wcale inwentarza zamku krakowskiego z r. 1787, który okazać się może bardzo ważnym przy przyszłej restauracji Wawelu. P. Marjan Gumowski w artykule o sztycharzu z XVII. w. Mateuszu Poprawie podaje reprodukcje 4 rycin, wykonanych przez niego. W ogóle znanych jest wszystkiego 7 rycin tego sztycharza. W Polsce tylko Muzeum narodowe w Krakowie i zbiór Pawlikowskich we Lwowie posiadają ryciny Poprawy. P. Gumowski w artykule swoim rozbiera krytycznie artystyczną działalność Poprawy, a na podstawie sztychu z r. 1652, dedykowanego Bartłomiejowi Zimorowiczowi, przychodzi do przypuszczenia, że Poprawa miał pewien związek ze Lwowem i być może nawet na koszt Zimorowicza odbył podróż do Włoch. Przypuszczenie to można posunąć jeszcze dalej, a mianowicie, że Mateusz Poprawa był lwowianinem, tem bardziej, że nazwisko „Poprawa“ przychodzi bardzo często w aktach radzieckich lwowskich.

NOTATKI. *Zamach na Jana III.?* Prawdziwie sensacyjną i naszym historykom dotychczas nie znaną wiadomość przyniosła świeżo w Paryżu wydana, źródłowa praca Cabanesa i L. Nassa p. t. *„Poisons et sortilèges“*. Mianowicie 21. września 1677 aresztowano w Paryżu niejakiego Vaneus'a pod zarzutem zamierzonego otrucia Ludwika XIV. Jak się później okazało był to herszt bandy trucicieli, którzy formalny utworzyli handel środkiem trującym, zwanym *poudre de succession* (proszek sukcesyjny) i używani byli także do różnych tajemniczych działań na dworach zagranicznych. Między innymi członkowie tej bandy wykonać mieli zamach morderczy na króla Jana III. Sobieskiego i jego żonę Marję Kazimierę w listopadzie r. 1676. w ten sposób, że do cukierniczki wsypali sublimatu zmięszanego z arszenikiem, w ilości, która wystarczała do otrucia kilkudziesięciu ludzi. Cukierniczka ta stała przygotowana już przed parą królewską do śniadania, zawartość jej pokosztował jednak wpierw jeden z pokojowców, u którego wystąpiły natychmiast symptomy otrucia. Doniósł o tem margrabia Bethume Ludwikowi XIV. w liście datowanym z Gdańska 6. listopada r. 1676. poczem Ludwik XIV. bezzwłocznie nadesłał Marji Kazimierze gratulacje z powodu szczęśliwego uniknięcia zamachu. Z listu Bethume'a nie wynika gdzie zamach został wykonany, tembardziej, że para królewska w listopadzie r. 1676 bawiła w Warszawie po powrocie z Gdańska. Tajemnicza ta historja, mająca być pono w związku ze współczesną polityką brandenburską, wymagałaby bliższego zbadania.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.